

Maurice Leblanc.

## TAJEMNICZE DOKUMENTY.

2

(Ciąg dalszy).

Był tak zuchwały, że zostawił gościa na progu przedpokoju, w miejscu, skąd przez otwarte drzwi widzieć było można część salonu. I powoli, nie obejrzawszy się nawet, wrócił do salonu i podszedłszy do współnika, który pilnował Kesselbacha, szepnął mu:

— Jesteśmy zgubieni. To Gourel z wydziału bezpieczeństwa... Dobądź twego noża...

Chwycił go za ramię.

— Nie. Jeszcze nie... Mam myśl. Ale na Boga, Marco, chciej dobrze zrozumieć i odpowiadaj mi z sensem. Mów, jak gdybyś był Kesselbachem... Mów Marco, jakbyś nim był.

Mówił z taką zimną krwią i tak rozkazująco, że Marco bez dalszych objaśnień zrozumiał, że ma odegrać rolę Kesselbacha. Przemówił tak, by go słyszano:

— Wytłómacz mnie, mój drogi. Powiedz panu Gourel, że mi bardzo przykro, ale że mam nadmiar roboty... Przyjmę go jutro rano o dziewiątej... tak, punktualnie o dziewiątej rano.

— Dobrze — szepnął drugi — nie ruszaj się teraz.

Powrócił do przedpokoju. Gourel tam czekał. Zwrócił się doń:

— Pan Kesselbach bardzo przeprasza. Kończy ważną pracę. Czy byłby pan łaskaw przybyć jutro o dziewiątej rano?

Gourel zdawał się zdziwiony i lekko zaniepokojony. Milczał. Ręka tamtego, zanurzona w kieszeni, ścisnęła rękojeść noża. Jeden dwuznaczny ruch, a uderzy...

Nareszcie Gourel przemówił:

— Dobrze... więc jutro o dziewiątej rano... ale jednak... A zatem jutro o dziewiątej. Stawię się.

I włożywszy kapelusz, wyszedł przez korytarze hotelu.

W salonie Marco wybuchnął śmiechem:

— A to kapitalne, panie! A toś go pan zażył!

— Zbieraj się Marco, idź za nim. Jeżeli wyjdzie z hotelu, porzuć go, odszukaj Hieronima przy omnibusach tak, jak umówione... i telefonuj.

Marco wyszedł spiesźnie.

Wtedy nieznajomy chwycił karafkę, stojącą na kominku, nalał sobie szklankę wody, wypił ją duszkiem, zwilżył chustką do nosa, otarł nią spoczone czoło, nareszcie usiadł obok swego więźnia i z udaną grzecznością przemówił:

— Trzeba jednak przecież, panie Kesselbach, żebym ja miał zaszczyt przedstawić się panu!

I wyciągając z kieszeni kartę wizytową, wygłosił:

— Arsen Lupin, wspaniałomyślny włamywacz.

## II.

Zdawało się, że imię sławnego awanturnika zrobiło na Kesselbachu najlepsze wrażenie. Nie uszło to uwagi Lupina, który zawołał:

— Ach, och, kochany panie, odetchnąłeś pan? Arsen Lupin, to włamywacz delikatny..., on nie lubi krwi rozlewać; lubi tylko przywłaszczać sobie cudzą własność... to niewinny grzech, nieprawdaż? I mówisz pan sobie, że on nie będzie chciał brać na sumienie niepotrzebnego morderstwa? Zgoda... w tem jednak pytanie, czy zgładzenie pana ze świata okaże się niepotrzebnym? W tej chwili przysięgam panu, że nie żartuję. Dalejże więc, mój panie!

Przysunął krzesło swe do fotelu, wyjął knebel z ust więźnia i zaczął swego wyraziście:

— Panie Kesselbach, w sam dzień przyjazdu do Paryża, nawiązałeś stosunki z jakimś Barbereuse, dyrektorem agencji tajnych wywiadów, a ponieważ działałeś bez wiedzy swego sekretarza Chapmana, więc ów Barbereuse, o ile znośił się z tobą piśmieniem lub telefonicznie, nazywał się „pułkownikiem“. Muszę ci powiedzieć, że Barbereuse jest człowiekiem najuczciwszym w świecie. Mam jednakże jednego z moich dobrych przyjaciół wśród jego urzędników. Tym sposobem dowiedziałem się o przyczynie twoich stosunków z Barbereuse... i to mnie skłoniło do zajmowania się tobą; dlatego też przy pomocy dorobionego kłecza złożyłem kilka wizyt w twoim mieszkaniu; w czasie tych wizyt jednak nie znalazłem tego, czego szukałem.

Zniżył głos i patrząc w oczy swemu więźniowi, badając jego wzrok, zgłębiając w nich myśl najtaj-

niejszą, powiedział owemu Barbereuse:

się nazywał, czy nazywa Piotr Leduc, a którego rysopis jest mniej więcej taki: wzrost metr sześćdziesiąt pięć, blondyn z wąsami. Znak szczególny: z powodu skaleczenia koniec małego palca u lewej ręki obcięty. Oprócz tego na prawym policzku jest małoznaczna blizna. Zdajesz się przywiązywać do odnalezienia tego człowieka niezmierną wagę, jak gdyby stąd miały wynikać dla ciebie ogromne korzyści. Kto jest ten człowiek?

— Ja nie wiem.

Odpowiedź brzmiała stanowczo, kategorycznie. Czy on wiedział, czy nie wiedział? Wszystko jedno. Dostyc, że widocznie postanowił nie powiedzieć.

— Przypuśćmy. Ale wiesz o nim więcej szczegółów, niż to tylko, co powiedziałeś owemu Barbereuse?

— Nic nie wiem.

— Kłamiesz, mój panie Kesselbach. Dwa razy przy Barbereuse zaglądałeś do papierów, zamkniętych w skórzanej kopercie.

— W istocie.

— A gdzie ta koperta?

— Spalona.

Lupin zatrząsł się z wściekłości. Widocznie myśl o torturach i o ich skuteczności zabłysła mu znów w głowie.

— Spalona?... ale kasetka... przyznajże się, przyznaj, że ona jest w *Crédit Lyonnais*?

— Tak jest.

— I co zawiera?

— Dwieście najpiękniejszych brylantów z mojego prywatnego zbioru.

Ta wiadomość spodobała się wyraźnie rycerzowi fortuny.

— Ach! ach! dwieście najpiękniejszych brylantów! Ależ to majątek... Uśmiechasz się... Dla ciebie to drobnostka... i twoja tajemnica więcej dla ciebie warta... Tak, dla ciebie... Ale dla mnie?... Wziął cygaro, zapalił zapalniczką, którą machinalnie zgasił i stał przez chwilę zamyślony, nieruchomy.

Minuty upływały.

Zaczął się śmiać.

— Spodziewasz się zapewne, że wyprawa się nie uda i że oni nie otworzą schowka? Być może... być może! Ale wtedy zapłacisz ty mi za moją fatywę.

Nie przyszedłem tu po to tylko, by cię na tym fotelu oglądać... Brylanty, skoro są... jeżeli nie, skórzana koperta... Tak stoi kwestya.

Spojrzał na zegarek.

— Pół godziny!... Los każe czekać... Ale nie cieszysz się, panie Kesselbach, słowo uczciwego człowieka, że ja stąd nie odejdę z próżnymi rękoma... Nareszcie!

Odezwał się dzwonek telefonu. Lupin zważo pochwylił słuchawkę i zmieniając głos, naśladując chłodny ton swego więźnia, przemówił:

— Tak, to ja, Rudolf Kesselbach... Dobrze, proszę pani, proszę mnie połączyć... Czy to ty, Marco? Doskonale... Więc poszło dobrze?... No, to się cieszę... Nie zahaczyłeś się?... wiesz, mój drogi... Więc cóż tam znaleźli? Hebanową kasetkę?... nic zresztą, żadnego pisma?... No, no! A w kasetce?... Piękne są te brylanty?... Doskonale... doskonale... Zaraz, czekaj... niech się zastanowię... Wszystko to, jeśli ci mam powiedzieć, co o tem myślę... Zaczekaj, nie odchodź... zostań przy telefonie...

Odwrócił się.

— Panie Kesselbach, czy zależy ci na tych brylantach?

— Zależy mi.

— Odkupiłbyś je odemnie?

— Może być.

— Za ile? Za pół miliona?

— Za pół miliona? Niech będzie.

— Tylko że... w tem sęk... Jak się ma odbyć wymiana? Za pomocą czeku? Nie, zasypałbyś mnie... albo ja bym ciebie zasypał... Posłuchaj. Pojutrze idź do *Crédit Lyonnais*, weź twoje pół miliona banknotami i spaceruj w lasku, koło Auteuil... ja będę miał przy sobie brylanty... w torebce, to wygodniej... kasetka jest nazbyt widoczna...

Kesselbach drgnął.

— Nie... nie... kasetka... ja chcę mieć wszystko!...

— Ha! ha! — Lupin wybuchnął śmiechem — wpadłeś w pułapkę, mój panie... Z brylantów nic sobie nie robisz, można mieć inne w ich miejsce... Ale o kasetkę tobie chodzi, jak o własną skórę!... A więc dobrze, będziesz miał swoją kasetkę... moje słowo na to... odbierzesz ją jutro rano przez pocztę!

Powrócił do telefonu.

— Marco, czy ty masz przed oczami to pudełko? Cóż ono przedstawia tak szczególnego?... Heban, inkrustowany stoniową kością... znam, znam... japoński styl z *fondbour Saint-Antoine*... Żadnych znaków? Mała etykiетка okrągła z niebieską obwódką i z cyfrą... tak, znak kupiecki... bez znaczenia. A dno

pudełka czy grube?... Nie bardzo?... a więc nie ma podwójnego dna... Słuchajno Marco, zbadaj dobrze inkrustację kościaną na wierzchu, albo raczej nie, raczej samo wieko.

Uniósł się radośnie.

— Tak wiecześnie! to, to, Marco! Kesselbach mru-gnął... Zaruszył się!... Ach, mój stary pocziwce, toś ty nie widział, że ja cię wywodzę w pole? Co za niezgrabna i niedomyślna osoba!

Zwrócił się znowu do telefonu.

— No i cóż tam masz dalej? Lusterko po wewnętrznej stronie?... Czy przesuwalne? Czy w ramach?... Nie... a więc stłucz je... ależ tak, mówię ci, stłucz je... To lusterko niema racji bytu... zostało dodatkowo wprawione.

Zniecierpliwił się.

— Ależ głupcze, nie mieszaj się do tego, co do ciebie nie należy... Słuchaj!...

Musiał usłyszeć z uchem przy muszli, co robił Marco, bo nagle tryumfująco zawołał:

— Czy nie mówiłem, panie Kesselbach, że połów się uda?... Halo! Czy już... więc co?! List?! Zwycięstwo! Wszystkie brylanty i tajemnica pocziwca! Zdjął drugą słuchawkę, przyłożył starannie obydwie do uszu i mówił dalej:

— Czytaj Marco, czytaj pomaleńku. Najpierw to, co jest na kopercie... Dobrze... a teraz czytaj głośno.

Powtarzał słyszane słowa:

— „Kopia listu zamkniętego w czarnej, skórzanej kopercie“.

— No, dalej. Rozedrzej kopertę, Marco. Pan pozwała, panie Kesselbach? to nie jest zupełnie w porządku, ale cóż robić?... Zaczynaj, Marco. Pan Kesselbach cię upoważnia. Już? A więc czytaj.

Słuchał, aż wreszcie roześmiał się kwaśno.

— Masz sobie! To nic tak dalece olśniewającego. Powtórzę więc. Prosty arkusik papieru, złożony we czworokąt, załamania zupełnie świeże... Dobrze... W górze na prawo na tej ćwiartce słowa: metr 75 cm., mały palec u lewej ręki obcięty etc... Tak, to rysopis tego jegomościa Piotra Leduc. Pismo Kesselbacha, nieprawdaż?... A w środku ćwiartki ten wyraz wielkimi literami druku:

## A P O O N.

— Marco, mój mały, zostaw no ten papier w spokoju, nie ruszaj kasetki ani brylantów... Za dziesięć minut ja tutaj skończę z moim pocziwcem. Za dwadzieścia minut będę z tobą. Ale, ale... czy odesłałeś mi automobil? To doskonale. Do widzenia.

Zawiesił słuchawkę, przeszedł do przedpokoju, potem do pokoju, przekonał się, czy sekretarz i służący nie rozluźnili swych więzów, a zarazem czy zakneblowanie nie grozi im uduszeniem i wrócił do swego więźnia.

Wyraz twarży jego był stanowczy, nieubłagany.

— Tu niema śmiechu, panie Kesselbach. Jeżeli nie zechcesz mówić, źle z tobą będzie. Cóż tedy postanawiasz?

— Względem czego?

— Tylko proszę, bez żartów. Mów, co wiesz.

— Ja nic nie wiem.

— Kłamiesz. Co znaczy to słowo APOON?

— Gdybym wiedział, nie byłbym tego zapisywał.

— Być może. Ale do kogo, do czego ono się odnosi? Z czegoś to przepisał? Skąd wzięłeś to słowo?

Kesselbach milczał.

Lupin podjął znowu nerwowo, urywanie:

— Słuchaj Kesselbach, zrobię ci propozycję: Choć jesteś taki wielki, bogaty pan, niema między nami tak wielkiej różnicy. Syn kotlarza z Augsburga i król włamywaczy mogą zawrzeć ze sobą układ i żadnemu z nich to nie ubliży. Ja kradnę w mieszkaniach, ty kradniesz na giełdzie. Wart jeden drugiego. A więc słuchaj, panie Kesselbach. Wejdźmy w spółkę co się tyczy tej sprawy. Ja potrzebuję ciebie, ponieważ o niej nic nie wiem. Ty potrzebujesz mnie, ponieważ sam sobie rady nie dasz. Barbereuse to głupiec. A ja jestem Lupin. Cóż, zgoda?

Milczenie. Lupin nalegał, a głos mu drżał.

— Odpowiadaj, panie Kesselbach, zgadzasz się? Jeżeli tak, w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin oddaję ci go, twego Leduca. Gdyż o niego ci chodzi, co? Otóż w tem sprawa. Odpowiadajże! Co to za osobistość? Dlaczego go poszukujesz? Co o nim wiesz?

Uspokoił się nagle, położył rękę na ramieniu Niemca i sucho rzucił pytanie:

— Jedno słowo. Tak, czy nie?

— Nie.

Wyciągnął z kieszonki Kesselbacha wspaniałą złotą chronometr i położył go na kolanach więźnia: Odpiął mu kamizelkę, rozsunął koszulę i chwytając stalowy sztylet, o rączce, inkrustowanej złotem